Rok 1901. Lwów, 7. Lipca Nr. 26.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów · Cicha 5.



Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.



Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

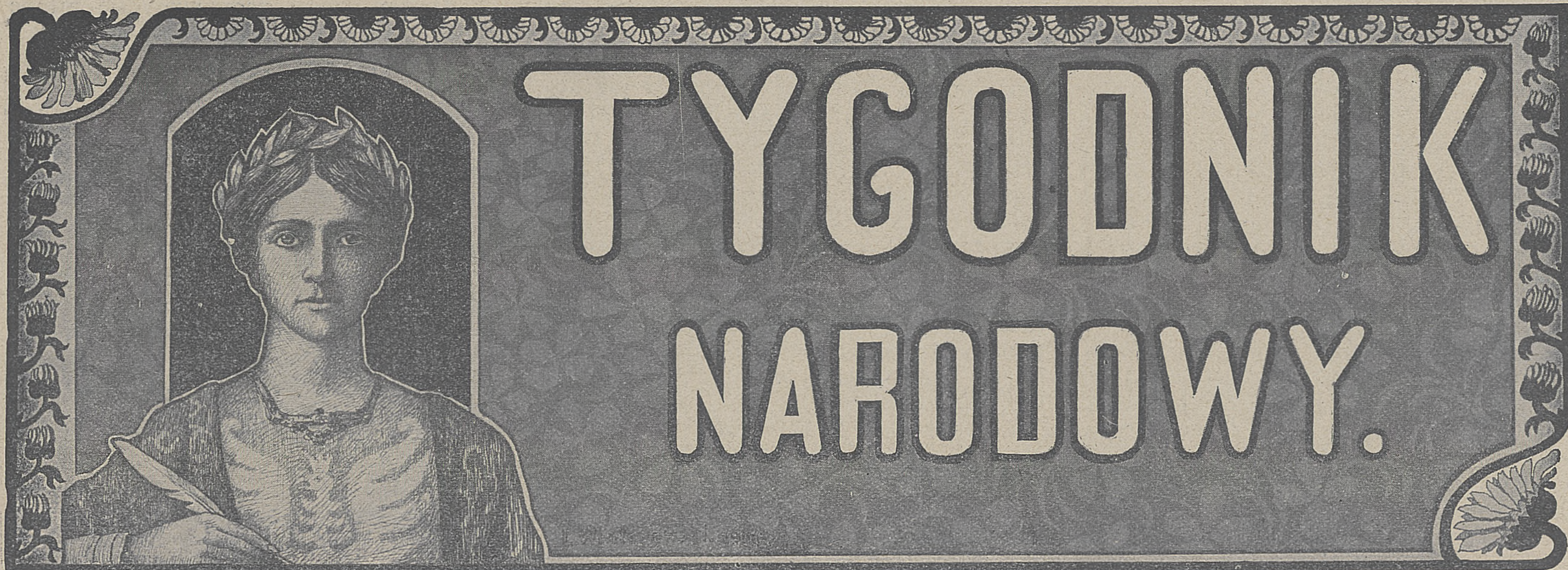
Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 7. lipca. Nr 26.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11. Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 26:

My a oni.

W ciągu kilku miesięcy pięć wielkich banków niemieckich zawiesiło wypłaty. Więcej niż 100 milionów marek akcyi, uważanych za bardzo pewne, zamieniło się na makulaturę, dziesiątki tysięcy rodzin utraciły wszystkie swe oszczędności lub poniosły wielkie straty. A serya klęsk, które spadają na Niemcy tak niespodziewanie, zapewne jeszcze nie skończona. Nie mówiąc już o drobnych bankach, które zachwiały się skutkiem bankructwa wielkich, kasselska „Trebertrocknungs-Ges.“, której ratowanie bank lipski płacił swym upadkiem, cudem chyba tylko zdoła się utrzymać. A przyczyna tej klęski, która ogarnia tak szerokie koła i oddziaływa tak silnie na ogólne położenie finansowe kraju? Zwyczajne złodziejstwo, wyrafinowane oszustwo, hazardowna spekulacya, długoletnie fałszowanie bilansów dla ukrycia niepomyślnego stanu rzeczy, ślepe zaufanie władz nadzorczych i rewizyjnych do kierowników instytucyj finansowych.

Wobec tych bankructw gwałtem narzuca się pamięci głośny upadek lwowskiej kasy oszczędności i zachwianie się kilku mniejszych banków galicyjskich, i przypominają się złośliwe uwagi prasy niemieckiej o „gospodarce polskiej“. Już to złośliwa krytyka bliźniego sprawia niektórym ludziom szczególną przyjemność, i Niemcy korzystali według sił z nadarzającej się sposobności.

Gdyby chodziło o wywzajemnienie się, możnaby przeprowadzić bardzo zajmujące porównanie „gospodarki niemieckiej“ z „polską“, a wyszłoby ono doprawdy nie na korzyść finansistów niemieckich. I u nas była „grynderka“ i hazard lekkomyślny z wszystkiemi następstwami, ale celów, które przyświecały Szczepanowskiemu a doprowadziły Zimę do fałszowania bilansów, próżno szukalibyśmy w Niemczech. Próżno też szukalibyśmy tam usiłowań, aby odwrócić klęskę od niewinnych i przez odpowiednią sanacyę zachwianych instytucyi zapobiedz ruinie tysięcy jednostek, które złożyły z ufnością w bankach swoje oszczędności. Ale nie chodzi nam o takie porównanie, bo żadne nadużycia niemieckie nie zmienią faktu, że działo się źle w galicyjskiej kasie oszczędności.

Na inny natomiast szczegół pragnęlibyśmy zwrócić uwagę: na zachowywanie się społeczeństwa i prasy. Klęska finansowa, która dotknęła Niemcy, jest nawet przy uwzględnieniu stosunku obustronnej zamożności znacznie większa od galicyjskiej, zwłaszcza, że jak wspomniano, nikt tam nie pomyślał o akcyi ratunkowej i dziesiątki tysięcy rodzin — w przeciwieństwie do Galicyi — poniosły dotkliwe straty. Wrażenie też jest ogromne, przygnębiające, a mimo to w pismach poważniejszych, świadomych swego celu i zadania nie znajdziemy gwałtownych okrzyków rozpaczy, miotania obelg na stronnictwa lub nawet i całe społeczeństwo. Nikt nie przeczy istnieniu nieszczęścia błędu lub zbrodni, ale nikomu na myśl nie przyjdzie, aby za wykroczenie jednostek zrzucić odpowiedzialność na cały naród niemiecki, oskarżyć go o „zgniliznę moralną“ dlatego tylko, że kilku finansistów dopuściło się krzyczących nadużyć, a kilkudziesięciu członków rad nadzorczych nie spełniło swego obowiązku. Wiadomo, że u nas było inaczej. Jak z rogu obfitości posypały się złośliwe zarzuty, już nietylko na jednostki, lecz na całe stronnictwa, do których zaliczali się winowajcy. I to nie wystarczyło oburzonym: całe społeczeństwo oskarżono w obliczu świata o zanik zmysłu moralnego, rozdzierano szaty nad jego upadkiem.

Jest w tem obustronnem postępowaniu różnica uderzająca, a bardzo znamienna. To nietylko różnica charakterów uwydatnia się w tych głosach dwóch społeczeństw o wypadku tej samej natury i doniosłości. Wcale nie. Tylko Niemcy posiadają dużo zmysłu politycznego i zrozumienia swoich interesów, a jeszcze wiele więcej poczucia swej godności własnej i wierzą, że nietylko uogólnienie pojedynczych wykroczeń nie jest niczem uzasadnione, lecz co ważniejsza, krzyki na temat „zgnilizny moralnej“ są dla nich ubliżające, szkodzą ich powadze i podkopują ich kredyt. U nas tego wszystkiego jeszcze nie ma, i warto to stwierdzić, że pod tym względem moglibyśmy nauczyć się bardzo wiele od Niemców — nie mówiąc już wcale o Anglikach i Amerykanach.

Akcya przeciw pojedynkom.

W ostatnich kilku miesiącach wszczęła się w rozmaitych państwach europejskich akcya zmierzająca do zwalczania pojedynku i wyrugowania go z życia współczesnego, jako rzeczy niezgodnej z zasadami religii, moralności i społecznego ładu.

Inicyatorem tego ruchu międzynarodowego jest książę Alfons burboński, infant hiszpański. Stara się on pozyskać w każdym kraju ludzi wybitnych, wpływowych i energicznych, jako pierwszy zawiązek ligi antypojedynkowej, która ma z czasem coraz szersze zataczać kręgi i objąć wszystkie warstwy społeczne. Największe postępy dotychczas propaganda jego uczyniła we Francyi. Reprezentantem całego ruchu we Francyi jest p. Józef du Bourg. Za jego staraniem utworzył się tam komitet centralny, który ogłosił odezwę, wzywającą wszystkich, którzy potępiają pojedynek, do przystąpienia do ligi. Celem przystąpienia proponuje komitet podpisanie poniżej przytoczonego oświadczenia — jakkolwiek forma ta nie jest obowiązkową. Oświadczenie owo opiewa jak następuje:

„Podpisani oświadczają niniejszem publicznie, że zasadniczo potępiają pojedynek, jako instytucyę, która sprzeciwia się rozsądkowi i sumieniu. Obowiązują się oni propagować zarówno w życiu towarzyskiem jak i publicznem wedle sił swoich ruch, zmierzający do ostatecznego i zupełnego usunięcia pojedynku. Zdaniem ich, zarzucanie tchórzostwa temu, kto nie chce się pojedynkować, jest niesprawiedliwością i przesądem; przeciwnie uwa-

żają oni każdego, kto z przekonania wzbrania się stanąć do pojedynku, za człowieka nietylko honorowego, ale także odważnego, i mają dlań pełny szacunek. Zastrzegając sobie prawo chronienia się wszelką legalną drogą od obelg i żądania za nie zadośćuczynienia w miarę okoliczności, uważają podpisani jednak za rzecz nieodzowną utworzenie sądów honorowych, których decyzya rzeczywiście dałaby obrażonemu zadośćuczynienie, tak, iż nie byłoby potrzeby szukać go na drodze wątpliwej, a niedozwolonej, z bronią w ręku".

W wielu miastach francuskich potwo rzyły się już komitety ściślejsze, które zbierają podpisy i werbują zwolenników.

W Niemczech na czele ruchu antypojedynkowego stanął książę Karol Loewenstein — obecnie rozwinięto silną propagandę celem utworzenia komitetów we Włoszech i w Austryi, w której głośna sprawa nieprzyjęcia pojedynku przez margrabiego Tacoli i pochwalenia czynu tego przez hr. Ledóchowskiego, za co obaj zostali zdegradowani, przygotowała grunt do rozwoju idei antypojedynkowej.

Na zakończenie przytaczamy najważniejsze ustępy z listu ks. Alfonsa Burbońskiego do p. Józefa du Bourg, którym to listem zainicyował książę powstanie we Francyi ligi antypojedynkowej.

„Niewątpliwie — pisze ks. Alfons — znacznie więcej jest ludzi takich, którzy w duchu uważają pojedynek za absurd i za rzecz nieludzką i dla tego pragną jego wyrugowania, niżli takich, którzy przekonani są o korzyściach tej instytucyi. Ale brak łączności pierwszym nie pozwala się jawnie przyznać do tego, gdyż boją się stanąć wprost w przeciwieństwie do opinii publicznej. A jednak opinia ta wnetby się zmieniła, gdyby każdy otwarcie wypowiedział, co o tej kwestyi myśli, stałoby się wówczas to, co się dzieje z każdą rzeczą, wychodzącą z mody".

Autor listu wspomina następnie o głosach protestu, które się w Austryi odezwały z powodu sprawy margr. Tacoli i i hr. Ledóchowskiego i tak pisze dalej: „Bardzo miłą było dla mnie wiadomością, że we Francyi żywo zainteresowano się tym wypadkiem, i że także tam poczęto zbierać podpisy panów i pań na jakąś manifestacyę antypojedynkową. Bardzo to pięknie, a odwaga tych ludzi skutek swój odniesie. W gronie tem powstała myśl utworzenia międzynarodowego związku przeciw pojedynkowi. Jest to życzeniem mojem już od dawna, a sprawa Tacolego i Ledóchowskiego teraz daje pomyślny asumpt do jego zrealizowania. W świetnym artykule, zamieszczonym w „Reichspost" z dnia 16 października, a wyszłym z pod pióra jednej z najwyższych osobistości w Austryi, pyta się autor: „Czyż ten przesąd, najnieszczęśliwszy ze wszystkich pozostanie także klątwą nowego stulecia?" Prawa Boskie i ludzkie potępiają pojedynek. Piąte przykazanie mówi: „nie zabijaj", a Kościół katolicki zabrania pojedynku pod karą ekskomuniki, nakładając ją nietylko na walczących w pojedynku, lecz także na świadków i wszystkich uczestników, tak, iż żadnemu katolikowi bezwarunkowo bić się nie wolno lub brać jakiegokolwiek udziału w pojedynku.

Ustawy cywilne i wojskowe we wszystkich państwach zabraniają pojedynkowania się. Prawie wszystkie kodeksy uważają pojedynek za zbrodnię i naznaczają nań najcięższe kary. Prosty rozum również nie uznaje pojedynku. A jednak wszystko to dotychczas nie zdołało wytępić go — co jest smutnym dowodem, jak daleko sięgać może potęga przesądu. Najgłębsze przekonanie przeważnej większości ludzi skierowane jest przeciw pojedynkom, a tylko brak odwagi podtrzymuje go, owe tchórzostwo moralne, najuporczywsze i najbardziej pogardy godne ze wszystkich rodzajów tchórzostwa. Przemilcza się o swem zdaniu z obawy, że głos ten nie będzie pasował do reszty głosów. W liczbie tych ludzi znajdują się obrońcy pojedynku, tego barbarzyńskiego zwyczaju, który rzekomo trzeba zachować, ażeby nie wymarła w świecie odwaga (!?)

„Sądzę — pisze książę w dalszym ciągu — że chwila stosowna nadeszła, ażeby wprowadzić w życie międzynarodowy ruch antipojedynkowy. — Przedewszystkiem w każdym kraju kilku poważnych, energicznych i wpływowych ludzi powinno utworzyć tego rodzaju związek. We Francyi, w której każda dobra sprawa znajduje gorliwych i odważnych uczestników, niewątpliwie zjednoczenie nasze niebawem mieć będzie licznych członków.

Jego Eminencya kardynał Gruscha, arcybiskup wiedeński, podziękował mi pięknym listem w imieniu całej ludzkości i w imieniu katolików. Obecnie zwracam się do Pana zarówno w imię ludzkości i prawdziwej cywilizacyi, jako też w imię zasad naszej religii. A że tu idzie o kwestyę ludzkości, należy spodziewać się, że także wielu, którzy nie podzielają naszych zasad religijnych, mimo to usiłowania nasze wesprze.

Zdaniem mojem należałoby we wszystkich warstwach Francyi ustanowić zastępców, a później pozyskiwać dla naszej ligi przedewszystkiem ludzi wielkiego świata, mężów wpływowych bez różnicy kierunku politycznego lub religijnego.

Mam to przekonanie, że z pomocą Bożą w kilku latach związek nasz liczyć będzie wielu zwolenników. A spełniając ten obowiązek chrześcijański, inaugurujemy zarazem nowe stulecie ważnym krokiem na drodze prawdziwego, godnego naszych czasów postępu".



F. K.

LICYTACYA.

(HUMORESKA).

Pan Jacenty Zdzierski, właściciel czteropiętrowej, skanalizowanej kamienicy, był nawskroś materyalistą, t. j. uprawiał kult Mamona.

Jego lokator z czwartaka, pan Alfons Golski, malarz, był do szpiku kości idealistą i czuł wstręt wrodzony do rubla.

Oczywista, iż tak wręcz przeciwne sobie usposobienia bohaterów naszego opowiadania, którzy każdego pierwszego co miesiąc, miewali styczność ze sobą, musiały kiedyś doprowadzić do starcia.

Ale starcie to byłoby nadzwyczaj pospolite i nie ciekawe, gdyby w grę tu nie wchodził trzeci żywioł w osobie uroczej, osiemnastoletniej Zosi, córki pana Jacentego, która nie podzielała zdania swego ojca co do pana Alfonsa. Żywiła ona cichą, ale szczerą skłonność ku młodemu artyście i z niektórych danych przypuszczała, iż może liczyć na wzajemność.

Ale im więcej zagrzewały się młode uczucia na drugiem piętrze i na czwartaku, tem bardziej grubiała skorupa dokoła serca skąpego kamienicznika. Z każdą ratą, którą pan Alfons zostawał za komorne winien, przybywał nowy słój lodu w piersiach wierzyciela.

Nareszcie przebrała się miarka.

— Teraz go zlicytuję! — rzekł pan Jacenty pewnego rana.

Pani Jacentowa, cicha, spokojna kobiecina, rzuciła wzrokiem współczucia na swą córkę wiedząc od dawna, jaką ona kontrabandę w swem sercu ukrywa, ale nie śmiała mężowi przeczyć. Naraz Zosia zerwała się i zawołała:

— Na miłość boską, tego nie zrobisz, ojczulku!

— Otóż właśnie, że zrobię! — odparł, ściągając krzaczaste swe brwi ku osadzie nosa, jakby na obronę od błagalnego wzroku dziecka. — Właśnie, że zrobię! Mamże temu pendzlarzowi pozwolić sobie po nosie jeździć? Wyrok mam już dawno w kieszeni, komornika mogę każdej chwili sprowadzić. Oto będzie miał niespodziankę ten marnotrawnik, ten próżniak!

I zrobił swoje.

Z początku, na widok komornika, pan Alfons wpadł w złość, rzucał się, krzyczał, przeklinał, ale gdy mu ten urzędnik złańcuchem i medalem oświadczył, że gniew tu nic nie pomoże, ucichł, poddał się swemu losowi i podpisał awizacyę. Potem wpadł z rozpaczy w zadumę, w której widział, jak wszystkie jego szkice i obrazy, owoc talentu i natchnienia, jeden po drugim przechodzą za marny kruszec w ręce nędznych handlarzy, którzy je z jego pokoju wynoszą.

Żal ścisnął mu piersi, wybiegł.

Na schodach spotkał Zosię, która z nieśmiałością rzuciła mu smutne spojrzenie.

— Panno Zofio — wybąknął zmieszany, — ja wiem, że pani temu nie winna... gdyby nie pani, dawno byłoby to mnie już spotkało.

I szybko zbiegł ze schodów na ulicę.

Z kilkoma przyjaciółmi tego dnia jeszcze odbył radę wojenną, a wynikiem jej genialny pomysł: dopuścić do licytacyi.

Sądny dzień nastał.

Kilkunastu handlarzy, z których połowa, widząc o co chodzi, odeszła z wymysłami i trywialnemi dowcipami, gdyż woleliby stare ubrania, gałgany. Trochę kupców specyalistów, kilku amatorów, polujących na tani nabytek, garstka gapiów, dzielących swą ciekawość między licytacye, salę sądową i pogrzeby, wreszcie tu i owdzie twarze młodych artystów.

Z tyłu w kącie pan Jacenty. Sprawiało mu to przyjemność przyglądać się, jak „sztuka" jego przeciwnika, którą ten się tak szczycił i pysznił, tu, na gruncie materyalnym spadała do zera. Bo cóż może przynieść te kilka kawałków tektury i zamalowanego płótna!

I miał słuszność.

Kilka ładnych szkiców rodzajowych po długich nawoływaniach komornika zostało w rękach jakiegoś handlarza obrazów, tak, że obecnym młodym artystom aż w oczach pociemniało ze wstydu i upokorzenia.

— Weźmy teraz co innego! — rzekł urzędnik. — Głowa dziewczęcia! Śliczna główka dziewczęcia! Cudne oczy, różowe lica, malinkowe usteczka!

Przytem śmiał się arogancko. Lubił bowiem dowcipkować, będąc pewnym uznania stałego koła swej publiczności.

Wszyscy poczęli się cisnąć naprzód. Nawet pan Jacenty.

Nagle wspiął się na palcach i własnym oczom nie chciał dać wiary.

Wszak to była...

Tak, bez najmniejszej wątpliwości. To była ona, jakby skórę zdjął, żywiuteńka... Zosia.

Gniew, wstyd, upokorzenie ogarnęło naraz chciwego kamienicznika.

Czy ona pokryjomu pozowała malarzowi, czy też on zakochanemi oczyma tak uchwycił jej rysy, że z pamięci mógł je na płótnie utrwalić — dość, że była to ona, Zosia, podobiuteńka, świetnie sportretowana.

Gorączkowy niepokój owładnął biednym panem Jacentym.

Portret jego dziecka wystawiony na licytacyę — w niebezpieczeństwie dostania się do jakiegoś kramarza, który wśród różnych rupieci latami całemi będzie go trzymał w oknie na pokaz! Co za wstyd, co za kompromitacya przed wszystkimi znajomymi!

Do tego nie mógł nigdy dopuścić.

Pięć rubli! — zawołał ktoś.

— Dziesięć! — krzyknął pan Jacenty w rozdrażnieniu.

— Aha! — mruknął komornik — kobiety to wabik.

— Piętnaście: — odrzwał się jakiś dźwięczny głos.

— Dwadzieścia!

— Trzydzieści!

— Piećdziesiąt, — rzekł pan Jacenty, akcentując zgłoski, jak gdyby chciał przez to każdemu konkurentowi powiedzieć: „Wara, nie waż się mnie sprzeciwiać“!

— Sześćdziesiąt! — zawołał jakiś figlarz przy drzwiach, którędy mógł natychmiast drapnąć, gdyby mu wypadło zapłacić zadeklarowaną sumę.

— Siedemdziesiąt! — zabrzmiało z rogu.

Był to głos jednego ze sprzysiężonych artystów.

— Sto! — wrzasnął znów pan Jacenty.

Kroplisty pot wystąpił mu na czoło, a twarz poczerwieniała, jak burak. Zdjęła go istna pasya licytacyjna.

Obraz ten musiał do niego należeć za jakąkolwiekbądź cenę.

Ale przetarg nie ustawał.

— Sto dwadzieścia!

— ...trzydzieści!

— ...pięćdziesiąt!

— ...sześćdziesiąt!

— ...i piętnaście kop! — wołał jakiś żartowniś.

Burza śmiechu rozległa się po pokoju.

— Dwieście! — wymówił pan Jacenty stanowczym głosem.

Nagle, jak po uderzeniu piorunu, za panowała cisza. Wszyscy nadstawili uszu z pewnym rodzajem poszanowania.

Artyści ukradkiem porozumiewali się ze sobą oczami:

— Dosyć, wpadł sam w pułapkę!

— Dwieście po raz pierwszy — po raz drugi — i trzeci! — rzekł urzędnik. — Proszę, dwieście rubli! Dla amatora wart i pięćset. Szkoda, że suma ta pokrywa dług z górą, wskutek czego licytacya skończona, gdyż właściciel posiada jeszcze przynajmniej z tuzin takich główek, — żartował komornik.

— Co? — przerwał pan Jacenty, który się przecisnął do stołu i złożył na nim dwa storublowe papierki. — Jeszcze tuzin? Wszystkie są moją własnością. Dalej!

— Mocno żałuję, rzekł urzędnik, podając mu nabyty portret, ale licytować dalej nie mam prawa, zwróć się pan do samego artysty, może panu z wolnej ręki sprzeda.

Śmiech i szeptanina ogólna towarzyszyła tym słowom.

Jak wodą oblany, potrącając obecnych, wybiegł pan Jacenty z pokoju i omal, że się nie stoczył ze schodów, gdy nagle na trzeciem piętrze wpadł, jak bomba, na dwie kobiety.

— Ach, ojczulek! — zawołała Zosia.

— Co wy tu robicie? — zapytał, widząc żonę i córkę.

— Zosia tak się niepokoiła tą licytacyą, nieśmiało odpowiadała mu żona, że chciałyśmy pójść zobaczyć...

— O! — zawołało nagle dziewczę, spoglądając na portret, który jej ojciec trzymał w ręku, i rumieniac się po uszy z radosnego wstydu. — Wszak to ja jestem, ja..

Powoli schodzili ze schodów.

— I jak doskonale trafiona! — zauważyła matka, oglądając obraz. — Musi być z niego dzielny malarz — dodała swym spokojnym, łagodnym głosem, — któremu należałoby raczej przyjść z pomocą, a nie drogę zagradzać do karyery. — I zwracając się półgłosem do męża: — musi ją też bardzo kochać, inaczej nie mógłby jej tak świetnie wymalować.

— Ma jeszcze z tuzin tych jej portretów, — mrucyał w zakłopotaniu pan Jacenty. — A ten oto, kosztuje mnie dwieście rubli. Jak się zdaje, nic innego oprócz niej nie malował.

— Oprócz mnie nic nie malował? — szepnęło dziewczę do siebie.

— Dwieście rubli! — rzekła pani Jacentowa, otóż przekonaj się, że i sztuka przynosi zyski i pieniądze.

— Moje pieniądze! — mruczał sknera.

— Jacuś! — prosiła męża, nieznacznym ruchem zwracając jego wzrok na uszczęśliwioną twarzyczkę rozmarzonej jedynaczki, — Jacuś.



LUIZA MAX-EHRLER „CZUWAJĄCA MATECZKA“.

Znajdowali się już w mieszkaniu. Pan Jacenty wolnymi krokami począł mierzyć pokój.

Chodził tak przez chwilę w zamyśleniu, wreszcie stanął przed żoną.

— Każę go tu sprowadzić, — rzekł półgłosem, jakby wstydząc się słów swoich. — Pomówię z nim... o reszcie portretów Zosi... jak się zdaje, to on coś potrafi... zresztą kocha Zosię.. No i w każdym razie trudno, żebym całe życie tylko skupował u niego jej portrety.

Roześmiał się, a dźwięczny głos córki radośnie mu zawtórował.

W karnawale odbyło się wesele.



Zdzisław Dębicki.

O zmroku.

Wieczór... Wiatr zdala niesie
Zapachy lip, kwitnących w lesie...

Umierający dzień odchodzi
W czerwonych zórz powodzi,

Rubinów barwą i korali
Niebo się pali...

Na drogach pusto i bezludnie — —
Lipy tak pachną cudnie..

Po błękitnawej pól roztoczy
Stęsknione błądzą oczy..

Cisza i Zapomnienie
Idą przez sennych łąk przestrzenie

I biorą cały świat w ramiona
I dzień już kona — —

Wiatr falę zbóż pochyla wiotką,
Lipy tak pachną słodko,

A słońce, sypiąc swe rubiny,
Za bór się chowa siny..



Prof. Stanisław Królikowski.

O udzielaniu się ludziom chorób zwierząt domowych.

W istocie człowieka leży towarzyskość! Źle mu żyć na świecie samemu. Do szczęścia potrzeba mu koniecznie dzielić się swemi uczuciami z kimś, lub czemś. Ta konieczność towarzyskiego życia, sięga u niego tak daleko, że nawet i wtedy, gdy rozczarowanie obrzydzi mu sobie podobnych i zmusi do szukania samotności — uciekając od ludzi, otacza się zwierzętami, czy to obecnie w cichych, zamkniętych przed ludźmi, izbach gwarnego miasta, czy niegdyś w lichej lepiance, skleconej w ciemnej puszczy.

Kto wie, ażali nie anachoreci byli duchowymi prapojcami dzisiejszych "opiekunów zwierząt? Gdy pomyślimy o pustelniku, to obok postaci zgrzybiałego, długobrodego starca, staje nam zawsze w pamięci zgrabna główka sarenki, uratowana z wilczej paszczy, lub jakieś ptaszę „z złamanem skrzydłem, co się już nigdy w niebo nie wzbije".

Pierwotnym czynnikiem, który zbliżył nas do zwierząt, była chęć wykorzystania ich ustroju dla materyalnych potrzeb człowieka; następstwem tego jednak musiało być zrodzenie się w człowieku względem zwierząt uczucia, które wiele ma pokrewnego z wdzięcznością, nadto przekonanie, że oprócz materyalnej korzyści, zwierzęta mogą mu dostarczyć zadowolenia moralnego. Tak więc korzyść i przyjemność złączyły prawie nierozerwalnie człowieka ze zwierzęciem, spowodowały udomowienie wielu gatunków z wszelkich niemal działów królestwa zwierzęcego.

Dalszem następstwem tego było, iż człowiek — istota rozumna — rozciągnął swą dobroczynną opiekę nad zwierzęciem, dając mu potrzebny pokarm, i pamiętając o jego zdrowiu.

Nie możnaby nic zarzucić tej pięknej harmonii, gdyby nie to, że człowiek nie zawsze jest rozumny i nie zawsze dobry, że często nie pojmuje swej własnej korzyści i że niekiedy dzięki o d r o b i n i e pozostałych mu po praszczurach dzikich instynktów — nie obchodzi się rozsądnie z „minderwertigen" stworzeniami i zupełnie niepotrzebnie, bez myśli, je tyranizuje.

Możnaby tylko wreszcie karać złych, pogardzać nieukami, a mieć platoniczną litość dla dręczonych lub zaniedbywanych zwierząt, gdyby nie pewna okoliczność: niewłaściwe postępowanie ze zwierzętami mści się samo za siebie!

Każdy medal ma dwie strony!

Zwierzęta domowe dają nam korzyść i przyjemność — mogą one jednak wnosić do naszej chaty: smutek, ruinę, rozpacz! Niekiedy zasługujemy na nie do pewnego stopnia, przez brak uczuć ludzkich, lecz zazwyczaj karzą nas one za winy, które nie my popełniliśmy. A przecież mamy prawo bronić siebie, a obowiązek bronić innych od złego, na które ani my, ani ci nie zasłużyli. Aby się jednak skutecznie bronić od czegoś — potrzeba to „coś" poznać i umieć je zwalczać!

Lecz ileż to wieków ubiegło, zanim dowiedzieliśmy się, iż zwierzęta nasze, domowe mogą nas krzywdzić nietylko swymi zębami, rogami lub kopytami, nietylko samowolnie — lecz i mimowolnie, że ginąc same mogą i nas ciągnąć wraz z sobą ku cierpieniom, nawet ku śmierci! Od iluż to wieków ludzie ginęli na t. zw. czarną krostę — a kiedy dowiedzieliśmy się, że przyczyną jej są zwierzęta chore na wąglik? Oniemal wczoraj! Tak było i z wielu innemi chorobami.

Tajemnicza nić zaraz, od zwierząt przechodzących na ludzi, snuje się tak długo, jak dawno żyje rodzaj ludzki, tylko, że jej dostrzedz nie umiano. Aryadna urodziła się dopiero za naszego życia, zaledwie bowiem na dziesiątki lat się liczy czas, w którym nić ta stała się widoczną, a jeżeli dawniej dostrzegano ją, był to raczej ślad jej, nie ona sama.

Tem większa cześć bystrym umysłom, które z cienia odkrywają, gdzie jest źródło światła.

W początkach ubiegłego stulecia wiedziano już wprawdzie, że jedna z zaraz, tępiąca konie i bydło rogate, mianowicie wąglik czyli karbunkuł, udziela się i ludziom; nie ulegało już żadnej wątpliwości, że ukąszenie przez psa wściekłego, może wywołać tę straszną chorobę u człowieka; dzięki Jenner'owi wiedzieliśmy, że ospa zwierząt jest czemś bardzo pokrewnem z ospą ludzi. Ale tu był kres naszych, jako tako pewnych, wiadomości o stosunku chorób zwierzęcych do chorób ludzkich. Dzisiaj kwestya ta stała się tak dalece żywotną, iż maluczko a punkt ciężkości badań nad zarazami przechyli się ku zwierzętom. Choroby zakaźne zwierząt domowych, czyli t. zw. zoonozy, stały się już obecnie punktem wyjścia dla naukowego badania zaraz ludzkich, gdyż zachęca do tego często wspólność chorób ludzkich i zwierzęcych, łatwość nieograniczonego rozporządzania materyałem i możność wykonywania doświadczeń na zwierzętach ze szczepieniem chorób zaraźliwych.

Szereg chorób mogących przenosić się ze zwierząt na ludzi jest długi i codzień się zwiększa, a wzrasta nie dlatego, aby powstawały obecnie nowe choroby, lecz z przyczyny, iż istniejące od najdawniejszych czasów, zaczynamy dopiero dzisiaj dokładnie poznawać.

* * *

Wąglik, czyli jak chorobę tę nazywają karbunkuł, w pierwszej linii należy do tego smutnego orszaku. W Galicyi niemało zabiera on ofiar.

W powiecie lwowskim w r. 1896 we wsi Kochawina, zmarły dwie znachorki z przyczyny wąglika, a w r. 1898 we wsi Zimnawódka wybuchła formalna epidemia wąglikowa: od dwóch krów chorych zaraziło się 16 osób, z których 5 w strasznych męczarniach życie skończyło.

W marcu r. b. tu we Lwowie na Zamarstynowie zmarła dziewczyna, robotnica, pracująca u składnika szczeciny. Zaraziła się ona wąglikiem, obrabiając włos koński. Możeby fakt ten nie stał się głośnym, gdyby nie to, że i z Morawy nadeszło do Lwowa zawiadomienie o zarażeniu się tamże wąglikiem robotnika, który wyrabiał szczotki z włosia dostarczonego ze Lwowa. Okazało się, że obydwa wypadki spowodowane zostały przez jedną przyczynę, którą był włosień koński sprowadzony do Lwowa z zakordonowego Podola. Niewątpliwie włosie to pochodziło z konia padłego na wąglik. Niedozór lub nieświadomość więc, z winy których wprowadzono w handel produkta z konia podległego wąglikowi, kosztowały życie dwojga ludzi (jeżeli tylko dwojga), nie licząc ruiny handlarza, któremu zakład chwilowo zamknięto i odbiorcy odwołali swe zamówienia.

Ale nie tylko włos może stać się czynnikiem przenoszącym zarazek na człowieka, daleko częściej bywa nim krew zwierząt wąglikowych. Weterynarze, którzy skaleczyli się przy ich sekcyi, stają się niekiedy ofiarą swego powołania; rzeźnicy dźwigający na swych barkach mięso z rzeźni, łupieże zdejmujący skórę, garbarze, rymarze, szewcy i inni rzemieślnicy mający do czynienia jużto z trupami, jużto z produktami zwierząt padłych na wąglik lub oddanych na rzeź w chwili, gdy były chore na tę zarazę, mogą zakazić się karbunkułem. Skóra zwierząt wąglikowych, nawet już przerobiona, leżąca od wielu miesięcy w składach i sierść z niej, mogą stać się przenośnikami zarazy. Cytują nawet, że jakiś mieszczanin dostał czarnej krosty na nodze z przyczyny, iż wdział na się buty zrobione z zakażonej skóry. Przed kilku laty w jednej z klinik uniwersyteckich w Niemczech zjawiła się czarna krosta w ranie operowanego tamże chorego. Badanie wykazało, iż w tym ostatnim wy-

padku zarażenie nastąpiło za pośrednictwem materyału, użytego do zaszycia rany. Był nim katgut, to jest nić ukręcona ze skrawków kiszek zwierzęcych. Na szczęście chory wyzdrowiał. Fakt ten jednak dowodzi, jak wytrzymałymi są zakaźniki wąglikowe, gdy nawet tak gruntowne odkażenie, jakiemu katgut wogóle poddają w klinikach, nie jest w stanie zniszczyć zarodników bakteryj wąglikowych. Bo też grzybek ten należy do rzędu najwytrwalszych zarówno na czynniki chemiczne jak i fizyczne.

Nie ulega wątpliwości, że wąglik istnieje od niepamiętnych czasów i że w największej ilości wypadków człowiek zarażał się nim od zwierząt domowych (przypuszczano to od dawna) niekiedy zarażenie następowało zapewne i od dzikich n. p. od zajęcy — a jednak dopiero w 18-tym wieku przekonano się o tem, dowodnie zaś stwierdzono dopiero po odkryciu w r. 1855 grzybka wąglikowego dzięki weterynarzom Pollender'owi, Brauell'owi i Davaine'owi. Badania Davaine'a i wielu innych uczonych nad wąglikiem rzuciły gruby cień na piękną sielankę stosunku zwierząt do człowieka — ale też otworzyły na oścież wrota dla wiedzy i zbudowały podwalinę dla tak potężnej i tak dobroczynnej w swych skutkach nauki, jaką jest bakteryologia.

Ze wszyskich zaraz wspólnych ludziom i zwierzętom najdawniej znaną była wścieklizna. Piewszy z uczonych, który wiedział o jej istnieniu u psa był Arystoteles, żyjący na trzy przeszło wieki przed naszą erą; nie było mu obcem nawet, że przez ukąszenie choroba ta przenosić się może i na człowieka. Wielką to było zdobyczą dla nauki, szkoda tylko, że niepodobnem było należyte jej wyzyskanie wtedy. Dwadzieścia dwa wieki czasu ubiegły zanim utrwaliło się zdanie, iż nie tylko wścieklizna lecz i niektóre inne choroby mogą się przenosić ze zwierząt na ludzi. Ale i tego długiego szeregu stuleci było jeszcze za mało, abyśmy mogli poznać istotny czynnik wywołujący wściekliznę — i dzisiaj bowiem nie znamy go jeszcze — pomimo olbrzymiej ilości badań często trudnych, często żmudnych, zawsze niebezpiecznych.

Zarazkiem wścieklizowym jest prawdopodobnie, tak jak przy wągliku, jakiś ustrój roślinny — zapewne grzybek i to stojący bardzo nisko na szczeblach drabiny rozwoju.

Zbytecznem jest — sądzę — rozwodzić się nad wścieklizną, gdyż jeżeli nie ze swej istoty, to ze smutnego rozgłosu o jej niebezpieczeństwie dla ukąszonego znaną jest ona powszechnie. Nieszczęśliwy, komu zagraża, zginął u kogo powstała!

Zaraza ta jest tem straszliwą, że najczęściej uderza w ludzi, którzy idą do zwierzęcia z pieszczotą lub ratunkiem. To też ukąszeniu przez psy wściekłe podlegają przeważnie dzieci, i właściciele zwierząt którzy się bawią z psem lub go karmią, nie rzadko też weterynarze, w chwili badania psów, lub zadawania im lekarstwa. Jeżeli jednak pomimo, że wścieklizna tak częstą jest u psów, ludzie stosunkowo rzadko nań giną, winni to jesteśmy poczciwej naturze psa, który nawet będąc wściekłym niechętnie rzuca się na ludzi wogóle, a tembardziej na swego pana.

Do grozy położenia przyczynia się i to, że ukąszony nie wie kiedy choroba może u niego wybuchnąć, ubiegają bowiem od chwili ukąszenia do fatalnego przejawu niekiedy liczne miesiące. Cały ten czas ofiara i jej otoczenie znajduje się pod wpływem dręczącego niepokoju, doprowadzającego ludzi do newrozy, nawet do samobójstwa. Znane mi są liczne przykłady pierwszej i dwa wypadki targnięcia się na własne życie ze strachu przed wścieklizną. Statystyka pasteurowskich szczepień przeciwko wybuchowi tej choroby u ludzi pokąsanych przez wściekłe zwierzęta pociesza nieco, ale nie zupełnie uspokaja, gdyż zamało przekonywa. (C. d. n.).



J. KAUFMANN. ODWIEDZINY W SZABAS.

Władysław Rabski.

Nadludzie bez maski.

On zabił ją, a potem zabił siebie, — *es ist eine alte Geschichte.* I może lepiej byłoby nie mówić o tem wszystkiem, tylko pochylić głowy w milczeniu przed majestatem nieszczęścia. To na pozór takie proste, takie pospolite, choć smutne... A jednak ten żałobny telegram z Tyflisu, te nazwiska pośrednio lub bezpośrednio z tragedyą związane mają dla mnie inną wymowę. Plączą się tam wspomnienia z berlińskiego bruku, majaczą zapomniane imiona i twarze, zmartwychwstają echa tego środowiska literackich „nadludzi“, w którem tworzyła się specyalna psychologia i moralność modernizmu współczesnego i które następnie drogą literackiej komunikacyi i osobistych wpływów owładnęły artystyczny „Paon“ młodego Krakową.

Tym, którzy pragnęliby się z ust moich dowiedzieć senzacyjnych szczegółów o tragicznej historyi dwóch trupów, pochowanych w ziemi kaukaskiej, zgotuję rozczarowanie. Jakie tam były bezpośrednie motywy i okoliczności ponurego dramatu, tego ani wiem, ani badać nie chcę. Pragnę tylko odsłonić jego tło literackie i psychologiczne, pragnę zaprowadzić was na chwilę do tej niemiecko-skandynawsko-polskiej kolonii, która przed laty kilku głośną była na bruku Berlina, tam tworzyła nową sztukę, nową etykę i nowy erotyzm.

Ze wszystkich stron świata pozlatywały się duchy schyłkowe do stolicy Niemiec. Muzycy, poeci, malarze, czasem jakiś estetyk bez wyraźnego charakteru, czasem jakiś brzęczący złotem filister, płacący banknotami za towarzystwo modnych dekadentów, czasem jakiś cynik—humorysta, szukający tematów satyry — oto mniej więcej klasyfikacya zawodowa tej gminy literackiej, która niegdyś rezydowała w restauracyi pod „Czarnem prosięciem“ a od czasu do czasu także w prywatnem mieszkaniu jednego z polskich architektów upijała się muzyką, poezyą, absyntem. A nazywało się to „godziną rozpaczy“.

Były tam głośne w całej Europie nazwiska — Strindberg, Gunnar Heiberg, Munch, Przybyszewski — byli młodzi poeci i artyści, skrępowani jeszcze powijakami artyzmu, lecz już przywłaszczający sobie prawa moralne nadludzi, i były kobiety o tajemniczych oczach i zagadkowych instynktach, idące z rąk do rąk z całą świadomością swych praw do swobody, częściej jednak pod maską demonizmu pospolite awanturnice, a czasem ciche, proste dziewczęta, ginące pod kołami świętego wozu braminów berlińskich.

Tam była także ona, pani Dagny, zwana Aspazyą, o której jeden z feljetonistów wiedeńskich mówi, że jej włosy rudawe tak trzeszczały przy dotknięciu, jak kłosy dojrzałe przed burzą, że oczy półzamknięte miały wyraz zmęczenia, czoło miedzianą obręcz ponurych przeznaczeń, usta uśmiech tajemniczy. Pełno taraz w czasopismach niemieckich tych wspomnień o „Czarnem prosięciu“, gdzie Holger, Drachman i Strindberg grywali na gitarze, a kobiety stroiły się w wieńce z czerwonych skorupiaków gotowanych. Tak! może to w muzyce słów literackich ma urok wielkiej poezyi, ale zbliska wyglądało to nieco inaczej. Zgrzyty wzajemnej nienawiści, majaczenia pijanych kobiet i mężczyzn, strach ustawiczny przed wzajemną kradzieżą pomysłów literackich, ukłucia do żywego mięsa, małoduszne intrygi i spekulacye, wszystko to mięszało się z ekstazą poezyi, dźwiękami muzyki i... wieńcami z raków.

A miłość? Ci panowie dziwnie miłość tłómaczą. Oto jeden drugiemu uwodzi narzeczoną i mówi, że „ujrzał ją w przedziwnej czerwieni“, że ta czerwień wypełniająca całą komnatę, miała biliony drgań na sekundę (o! dekadenci znają się na prawach fizyki), że te drgania udzieliły się nerwom jego, no! a teraz czy rozumiecie, dlaczego on uwiódł cudzą narzeczoną? „Bo drgał!“ A potem napisał romans, z którego żywcem słowa te cytuję, i szedł dalej przez życie z hypnotycznemi oczyma i uśmiechem cynizmu, — on, wolny nadczłowiek.

I byłoby wszystko w porządku z tą teoryą barwy drgającej, gdyby życie nadludzi nie zadawało kłamu ich literaturze. Ach, Boże! trzeba się tylko miłości tych panów zbliska przypatrzyć, poznać motywy i technikę ich erotyzmu, aby z uśmiechem ironii słuchać opowiadań o rzekomej potędze barwy zagadkowej, promionkującej z ciała kobiecego, widzialnej jedynie dla przerafinowanych zmysłów dekadenta i budzącej w nim miłosną „Ananke“, czy tam drgania sympatyczne nerwów. Obserwowałem nieraz praktyczne zastosowanie tej teoryi barwy drgającej — czasem trzy razy w ciągu dnia jednego, raz na zielono, drugi raz na niebiesko, trzeci raz na żółto. I zawsze drgał ten sam człowiek, a że tam zmieniały się barwy i kobiety, cóż z tego? On był wrażliwy na wszystkie, a gdy idąc z upojeń różowych w upojenia blado zielone, łamał przysięgi, okradał przyjaciół, mordował gołębice, zabłąkane do królestwa nadludzi, wtedy uśmiechał się tajemniczo i mówił: „*Ich schwinge mit* — ja drgam razem z barwą kobiety, lecz motłoch ten nie rozumie i sarka“.

Te literackie dekoracye dekadentyzmu europejskiego a specyalnie owej niemiecko-skandynawsko-polskiej mieszaniny, snującej się do niedawna jeszcze po stolicy Niemiec, są w swoim rodzaju niezmiernie ciekawym przyczynkiem do psychologii najmłodszej literatury. Wszystkie halucynacye, satanizmy tajemnicze, przeczulenia, słyszenia barwne, szepty spirytyzmu i tajemne szmery instynktów, nie uświadomionych jeszcze przez ludzkość, a zbudzonych w chwilach mistycznych upojeń, — wszystko to, od czego roją się kabalistyczne księgi nadludzi, jest w życiu modernistów z małemi wyjątkami tylko efektowną pozą, komedyą i maską bardzo trywialnych żądz, uczuć i namiętności. Podobni są oni do histeryczek, u których kłamstwo jest wprost znamiennym symptomem choroby, albo stroją się w kostyum nadzwyczajności, jak komedyanci dla olśnienia tłumu, jak sprytni kuglarze życia, wieńczący grudki najzwyczajniejszego błota w girlandy kwiatów mistycznych. Tu i ówdzie snuje się może po świecie jaki szczery fanatyk apokaliptycznej ekstazy, ale typem twórczego i życiowego modernizmu jest cynizm i pospolitość, ubrane w mgły teatralne, w szaty fakirów, w liście paproci i muzykę duchowego arystokratyzmu. (Dok. nast).

Bon Marché.

Któraż z naszych Czytelniczek nie słyszała o paryskim „Bon Marché?“. Któraż bawiąc w nadsekwańskiej stolicy nie krążyła po salach olbrzymiego magazynu, który niemal świat cały zaopatruje w towary wszelkiego rodzaju, wchodzące w zakres konfekcyi damskiej? Nie jest to prosty magazyn. To jakiś hotel ogromny, w którym obok wspaniałej czytelni, znajduje się elegancka komnata do pisania listów, wystawa obrazów, kawiarnie itp. Wszystko dla użytku gości. Żaden sklep na świecie nie umila tak pobytu swoim klientom, jak „Bon Marché“ paryskie.

Na głębszą uwagę zasługują jednak stosunki pracowników i pracodawców w tym magazynie olbrzymim. Założyciel magazynu Boucicaut zrozumiał, że dobry kupiec starać się musi o dzielnych i przywiązanych współpracowników. Kiedy więc przystąpił w roku 1865 do budowania przy Rue de Sévres, dzisiejszego ogromnego pałacu i kiedy wiedział, że przedsiębiorstwo na silnych już teraz może się oprzeć podstawach, pierwszą jego myślą było stworzenie dwóch kas pomocy dla swoich ludzi. Z funduszów w tych kasach gromadzonych i ustawicznie powiększanych, czerpano nietylko na opłacanie lekarzy, lekarstw itp. i nietylko, że każdemu uczestnikowi kasy służyło prawo korzystania z renty na starość, ale jeszcze wyznaczono posagi pannom, wychodzącym za mąż dawano wyprawy itd.

Rzeczą niesłychaną prawie było dotąd w świecie kupieckim, ażeby nawet najniższy oficyalista mógł być współwłaścicielem, tymczasem Małgorzata Boucicaut po śmierci męża, w roku 1877, wszystkich podwładnych przypuściła do zysków i corocznie, po zrobieniu bilansu, każdemu wypłacała odpowiednie procenta od dochodów. Tym sposobem nawet stangret, oczyszczający stajnię, może z dumą powiedzieć o sobie, że jest współwłaścicielem słynnego na cały świat „Bon Marché“.

Rzecz jasna, że w tych warunkach na jedno miejsce opróżnione czekają setki i tysiące, dostanie się też do personalu nie należy do rzeczy łatwych, mając bowiem wybór, dyrekcya ściśle trzyma się tego, ażeby miejsca wakujące powierzane były osobom młodym, z rodzin nieposzlakowanych i posiadających dobre świadectwa szkolne. Z chwilą jednak, gdy ktoś zaliczony został do składu „Bon Marché“, jest uważany nie za człowieka obcego, ale niejako za dziecko w domu rodzicielskim.

Dyrekcya bazaru dba więc o dalsze kształcenie młodzieńca, a dobrze wynagradzani pierwszorzędni nauczyciele paryscy udzielają lekcyi pracownikom. Stąd pochodzi, że każdy członek personalu zna nietylko swój własny język, ale jeszcze włada niemieckim, angielskim, włoskim i hiszpańskim. Jeżeli tylko którykolwiek z młodzieńców objawia zdolności, może pobierać darmo lekcye gry na skrzypcach, fortepianie, śpiewu itp.

Najczęściej wieczorem po zamknięciu zakładu zgromadzają się współpracownicy w osobnym dla nich przeznaczonym salonie, gdzie deklamacye i zaimprowizowane koncerty uprzyjemniają wolne chwile. Uczniowie, wykazujący większe zdolności, wysyłani bywają za granicę do dalszego

kształcenia na rok, lub dwa lata, gdy zaś który z nich odsługiwać musi wojskowość, pensyę wypłaca mu dyrekcya z funduszów umyślnie na ten cel przeznaczonych. Pracownikom, w razie choroby wypłacaną bywa osobna zapomoga, pomimo, że pomoc lekarska zawsze jest zapewniona, wystarcza też świadectwo lekarza zakładu, ażeby chory wysłany został do wód na kuracyę. Kto pięć lat przebył w „Bon Marché“ ma prawo do korzystania z przytułku, urządzonego jaknajwygodniej, gdzie do końca życia nie dozna nędzy.

„Bon Marché“ posiada dla kobiet pracujących w zakładzie, osobne urządzenia do wiosłowania, kąpieli rzecznej, sportu cyklowego itp., dla mężczyzn istnieją kursa gimnastyki i szermierki.

Ogromny, czteropiętrowy gmach przy Rue de Bac nr. 115 służy na pomieszczenie dla kobiet, nie posiadających ogniska własnego. Każde piętro ma przez długość całą korytarz, po którego obydwóch stronach znajdują się jasne, przyjemne i nadzwyczaj czysto utrzymane pokoje, a każdy z tych pokoi jest równego wymiaru i w jednakowy sposób umeblowany.

Wielki salon i biblioteka stoją zawsze otworem dla mieszkanek tego gmachu, które o godz. 11 bezwarunkowo muszą już być w domu i tylko wtedy zwolnione są od tej reguły, jeżeli dyrekcya otrzymała poprzednio pisemną i dobrze umotywowaną prośbę o przedłużenie terminu.

Dla posiłku pracujących służą trzy olbrzymie sale jadalne, z których największa ma 120 m. dł. i do której światło wpływa przez 80 okien; w sali tej odrazu posilać się może do 1000 osób. Druga sala służy wyłącznie dla kobiet i obejmuje 500 osób, trzecia dla służby i stangretów na 300 osób. Wobec tego kuchnia, umieszczona na czwartem piątrze, niemniej jest olbrzymią, znajduje się tu zatem 9 kotłów o zawartości 800 litrów każdy, dwa po 450 litrów, cztery po 300; odrazu można tutaj przyrządzać 300 bifsztyków i 600 kl. mięsa.

W przeciągu 40 minut kucharze gotują 300 litrów kawy w specyalnych maszynach. Nad kuchnią czuwa specyalna inspekcya, sprawdzająca czystość, dobroć prowizyi i smak przyrządzanych potraw.

Ponieważ nie można przerwać czynności w sklepie, przeto urzędnicy podzieleni są na trzy grupy, kolejno udające się na posiłek, a nie mały to posiłek! Każdy z pracowników ma prawo, oprócz śniadania, żądać dwa razy na dzień większych ilości gorących potraw, do których przyłączony jest także litr wina i dwie butelki piwa. O godz. pół do ósmej wnoszą dla każdego kawę, czekoladę albo zupę; o 12 rozpoczyna się śniadanie, złożone z jednej potrawy mięsnej, którą każdy ma prawo wybrać sobie ze spisu, jarzyny i deseru; obiad, rozpoczynający się o godz. 5 stanowi: zupa, pieczeń do wyboru, jarzyna, sałaty i deser.



Nowe książki.

Wacław Nałkowski. — **Ziemia i człowiek.** — Szkice i studya geograficzne. Warszawa 1901.

„Geografia wyprowadza myśl ludzką z ciasnoty i jednostronności zaścianka, otwiera szerokie, porównawcze horyzonty. Musi ona żywo interesować każdego, kto umie myśleć naukowo, czuć artystycznie, lub działać praktycznie na szerszej arenie“.

Te słowa położył p. Nałkowski na czele książki swojej, jako motto. Zawiera się w nich prawda, której jednak przeczy smutna rzeczywistość.

Geografia nie zajęła u nas jeszcze tego miejsca, które jej się należy wśród ludzi myślących, czujących artystycznie i działających na szerszej niwie. A może jednocześnie brak nam i tych ludzi? Nie przesądzając tego, przyznać musimy, że na punkcie geografii jesteśmy ignorantami, niewiele lepszymi od Francuzów, z tą jedynie różnicą, że we Francyi w dziedzinie geografii było i jest dużo pożytecznych pracowników, a u nas pracownicy ci należą do nielicznych wyjątków (prof. Czerny, Rehman, Radliński). Dlatego literatura geograficzna nasza jest ogromnie uboga, zwłaszcza dzieł oryginalnych, będących owocem samodzielnych studyów, a nie czerpanych z drugiej ręki, nie komplikowanych — mamy w niej bardzo mało, wszelkie zaś tłómaczenia, przeróbki i streszczenia nie wzniosły się ponad poziom podręczników. Z tem większem uznaniem witamy książkę p. Nałkowskiego, która daleko wybiega poza granice elementarnego wykładu, i w sposób naukowy podaje i objaśnia wykształconemu ogółowi wiele ciekawych kwestyi geograficznych.

Zamiłowany geograf, pisarz barwny, cięty polemista, p. Nałkowski w książce niniejszej zebrał szereg szkiców, pisanych rozmaitemi czasy, wśród których obok cennych uwag, dotyczących naszego krajoznawstwa, znajdujemy krytyczno-historyczne notatki o pracach geograficznych Kołłątaja, Śniadeckiego i Michała Hubego, a dalej szereg studyów gruntownych na wyróżnienie zasługują: „System Nilu“, „Abisynia i jej mieszkańcy“, „Dżungurska brama narodów“ i „Afganistan i jego stanowisko geograficzno dziejowe“.

Zajmująca i pożyteczna książka ta znaleść powinna chętnych czytelników i rozejść się szeroko.

* * *

Rudyard Kippling. — **Od morza do morza.** Przekład z angielskiego M. G. Tom I. Warszawa 1901. Nakładem Biblioteki dzieł wyborowych“.

„Księga Dżungli“ dostatecznie już spopularyzowała u nas nazwisko Kipplinga i zalecać go czytelnikowi nie trzeba. Podpisaną przez niego książkę weźmie on do ręki zawsze i z ochotą. I nie zawiedzie się.

Obecnie wydane notatki z podróży do Chin i Japonii należą nietylko do najlepszych książek w literaturze podróżniczej świata, ale stanowią jedno z pierwszorzędnych dzieł w dorobku artystycznym Kipplinga. Lekko, swobodnie, z subtelną ironią, z humorem, a zarazem z głęboką myślą społeczną, opisuje autor wrażenia swoje doznane na pokładzie okrętu na rozkołysanych falach morza Chińskiego, w Hong-Kongu, Kantonie, wreszcie w Japonii, w Kobe, w Kioto i t. d. Zwłaszcza uwagi nad sztuką japońską, nad przemysłem i rękodziełami jej, kreślone są z wielką znajomością rzeczy i budzą prawdziwy podziw. Kippling nie sądzi bowiem tylko z wrażeń optycznych, ale stara się sięgnąć w głąb duszy twórczej człowieka Wschodu, stara się zrozumieć i przeniknąć zamiary artystów egzotycznych. Że mu się to udaje w zupełności — dowodzić zbyteczne. Sztuka japońska w interpretacyi jego nabiera blasku, interesuje i zachęca do bliższego poznania się z jej arcydziełami, niestety, tak dla nas niedostępnemi.

Niemniej trafne są spostrzeżenia Kipplinga, czynione nad życiem domowem i publicznem tej drobnej a pracowitej rasy, kroczącej śmiało ku wyżynom rozwoju kulturalnego.

* * *

Prof. A. Brückner. **Cywilizacya i język.** Warszawa 1901.

Prof. Brückner należy do najpoważniejszych badaczów naszej przeszłości. W dorobku historyczno literackim ostatnich lat kilkunastu imię jego zajmuje miejsce poczesne, a każda nowa praca przysparza mu zasług.

Obecnie w drugiem już, ale powiększonem i poprawionem wydaniu, wyszła gruntowna praca berlińskiego profesora, poświęcona badaniom obyczajowości polskiej na podstawie materyału językowego. Słownictwo polskie, w którem od wieków najróżnorodniejsze krzyżują się wpływy, do badań takich przedstawia bardzo wdzięczne pole. Wpływ czeski, niemiecki, łaciński (ta nasza *legitymacya cywilizacyjna*), włoski, francuski i t. d., wpływ czysto kulturalny, jaki narody ościenne lub związane żywszemi stosunkami z Polską w rozmaitych czasach na nią wywierały, pozostawił swój ślad wybitny w języku, w przyswojeniu mu nowych wyrazów, w przesiąkaniu ich do gwar ludowych i utrwalaniu się w rdzeniu języka, rzadko na dłużej lub na zawsze. Tej kategoryi wyrazów niema w języku polskim wcale w ilości tak wielkiej, jak to zazwyczaj sądzą. Przewaga ich jest tylko pozorna. Wobec wiekowej kultury polskiej i różnorakich jej dopływów, fale słów obcych nadpływały i odpływały stale, tak, że np. wyrazy włoskie, tureckie lub węgierskie miały tylko nader ograniczony czas trwania; nie znał ich wiek XV zupełnie, a XVIII już o nich zapomniał. Czas je przywiał, czas je odwiał i dowodzą one nie ubóstwa języka polskiego, lecz bogactwa i dawności literatury, która je zapisała i tem tylko od zupełnej niepamięci ochroniła, dalej bogactwa wpływów ościennych, jakie wielkie państwo bez drobnostkowych obaw wchłaniało i przetrawiało. Otóż bardzo znaczna część obcych słów polskich należy do tej właśnie kategoryi, do takich przelotnych pożyczek. One charakteryzują pewną dobę języka, pewną gałąź życia narodowego w danej chwili, lecz nie stanowią samego języka, samego życia. Osobne stanowisko wyznacza też autor słowom polskim, zabarwionym tylko z obca pod wpływem ościennych, pobratymczych najczęściej narodów. Są to znów pożyczki mniemane, rzekome.

W toku pracy swojej prof. Brückner objaśnia wiele wyrazów ciekawych i dziś jeszcze używanych, jak: androny, bizun, dureń, harmider, imbryk, kibić, kotara, narów, ramota, szczątek, taśma i t. d.

Książkę tę z przyjemnością i korzyścia przeczyta każdy inteligentny Polak.

NADESŁANE.

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.